All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 9go WRZEŚNIA 1897 ROKU. Nr. 36.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter. Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 9 Września, Kornbiniusz. Piątek 10 Września, Mikołaja. Sobota 11 Września, Piotra. Niedziela 12 Września, Winanda. Poniedziałek 13 Września, Tobiasza. Wtorek 14 Września, Im. P. Maryi. Sroda 15 Września, S. d. Nikodem.

Na Niedzielę XIV. po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Łukasza w rozdziale VI.

Onego czasu: Mówił Jezus uczniom swoim: Żaden nie może dwom panom służyć, bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował: albo jednego trzymać się będzie, a drugim wzgardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie. Dla tego powiadam wam: nie troszczcie się o życie wasze, cobyście jedli; ani o ciało wasze, czembyście się odziewali. Azaż dusza nie jest ważniejsza niż pokarm, i ciało niżli odzienie? Wejrzyjcie na ptąki niebieskie, iż nie sieją, ani żną, ani zbierają do gumien, a Ojciec wasz niebieski żywi je. Ażali wy nie daleko ważniejsi, niż one? I któż z was obmyślając, może przydać do wzrostu swego łokieć jeden? A o odzienie czemu się troszczycie: przypatrzcie się liliom polnym, jak rosną? nie pracują, ani przędą. A powiadam wam, iż ani Salomon we wielkiéj chwale swej nie był przybrany jako jedna z tych. A jeśli trawę polną, która dziś jest a jutro będzie w piec wrzucona, Bóg tak przyodziewa, jakoż daleko więcej was małej wiary? Nie troszczcież się tedy, mówiąc: Cóż będziem jeść, albo cóż będziem pić, albo czem się będziem przyodziewać? bo tego wszystkiego poganie pilnie szukają. Albowiem Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Szukajcież tedy najprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydano.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Daleko od Ojczyzny.

POWIEŚĆ.

Ciąg dalszy.

III.

Lat temu pięć, angielski parowiec wiozący nową ludność do kolonii Bitensa, spotkał rozbity okręt francuzki na Atlantyku. Okręt ten pomocy już żadnej nie potrzebował; ludzie znać uratowali się lub zatonęli, nie zadawano więc sobie pracy, aby się do roztrzaskanego statku przybliżyć.

Nagle majtkowie ujrzeli falami podrzucaną deskę a na niej człowieka. Spuszczono więc łódź ratunkową, która przywiozła nieszczęśliwego. Nie dawał on znaków życia, słabe uderzenie serca ocaliło go od wrzucenia napowrót w morze.

Gdy po kilku tygodniach odzyskał przytomność, parowiec przepłynął już kanał Suezki, oddalając się od Europy. Uratowany, dowiedziawszy się o tem, smutnie spuścił głowę, rzekł coś do siebie i przyjął wieść z zupełną rezygnacyą, jak również i to, że go niechciano zabrać napowrót i zostawiono na wyspie Bitensa. Mówił on po francuzku i angielsku, nie przyznawał się jednak do żadnej z tych narodowości; zwał

się Polly, a wyjechał w celach naukowych, nazwisko jednak jego kraju nie było znane ani kapitanowi, ani załodze parowca, który go przywiózł, ani Bitensowi.

Cichy, łagodny i odważny Polly oddawał wielkie usługi Bitensowi, wywierając doskonały wpływ na osadników; lecz miewał on bardzo częste chwile zadumy; siadywał wtedy nad brzegiem wyspy, wpatrywał się w niezmierzone obszary oceanu, jak gdyby chciał je wzrokiem swoim przeniknąć... Gdy tak był zasłuchany w szum fali, próżno do niego przemawiano. — Nie słyszał on wtedy nic, a może też słyszał tylko dźwięki które mu szum wody lub wiatry morskie przynosiły zdaleka, może rozmawiał z niewidzialnemi dla otaczających go duchami... Poruszały się tylko usta jego, jak gdyby się modlił. Zadumę tę kończył zwykle pieśnią, której wyrazów nikt z otaczających go nie rozumiał; roznosił ją ocean daleko — echo odbijało się wśród skał.

Nikt mu nie przerywał pieśni i zadumy. Nawet ci, których serca i ręce skalane były zbrodnią, za którą dostali się na wyspę, miękli na widok młodego jeszcze człowieka, który żył pośród nich tylko ciałem. Kapitan zaś Bitens, jego żona i dzieci kochali go jak przyjaciela. Po roku Polly rzekł do kapitana:

— Dobrzy jesteście dla mnie, chciałem z wami pozostać; ale mnie ogarnia tęsknota, nie mogę pędzić w świat. — Zapisane to widać nad moją kołyską, że tułać się muszę przez całe życie. — Kapitan zwrócił na niego wzrok zdziwiony.

— Pozwól mi przyjacielu, ciągnął dalej Polly, zabrać się na okręt przybyły z Sydney, tam lub może w innem mieście na Australii spotkam kogo, który mi nareszcie powie, co się dzieje z moimi; może łatwiej wieść jaką odbiorę. Daleko zostawiłem wszystko, com ukochał... żonę i dziecię, które jeszcze świata Bożego nie oglądało, gdym je opuszczał... Nie odebrałem od nich dotąd nigdzie wiadomości, lecz chcę raz jeszcze spróbować. — Żona, Harry i Bety, dzieci kapitana, nie mogły pogodzić się z tą myślą, żeby ich Polly opuścił, lecz Bitens rozumiał jego tęsknotę. wyciągnął więc dłoń i rzekł:

— Jedź, drogi przyjacielu, a gdy odbierzesz wieści od swoich, podziel się z nami radością; gdy ci za smutno będzie na Australii, gdy nie znajdziesz pracy na żadnym okręcie, powracaj, jakby do swojej rodziny.

Polly odjechał.

W lat dwa powrócił na okręcie, który co roku przypływał z Sydney do osady Bitensa. Powrócił, aby wraz z kapitanem usypać mogiłę jego żonie i małej Bety i zobaczyć Harrego, który wkrótce miał udać się na naukę do Anglii. Wtedy to opowiadał, iż odebrał wiadomość, że żona jego żyje i oczekuje go wraz z córką.

— Rok temu, jak im doniosłem, gdzie się znajduję i jak pragnę ich ujrzeć, lecz muszę mieć pierwej wieści od nich i pieniądze na drogę. W każdym razie, przecież ich kiedyś zobaczę; mówił idąc za biegiem swych myśli. Jak myślisz, w rok można już odebrać odpowiedź? zapytał nagle Bitensa. Kapitan skinął głową potwierdzająco.

— Rok minął, — mówił do siebie Polly, — ale cóż robić, wszakże czekałem dłużej; rzuciłem ziemię, puściłem się na morze.... i oto jak ono mi się wypłaca! Ty najlepiej wiesz, kapitanie — rzekł, zwracając się do przyjaciela, — tak, ale teraz mam nadzieję, że odpowiedź nadejdzie. Trzeba spieszyć do Sydney, okręt wkrótce odchodzi. Żegnam cię więc; dodał ściskając rękę Bitensa, a złożywszy pocałunek na czole wpatrzonego weń Harrego, spiesznym oddalił się krokiem, do stojącego w przystani parowca.

Kapitan patrzył ze współczuciem za odchodzącym.

IV.

Harry wyjechał do Anglii, o Pollym zaś od owej chwili nikt nic nie słyszał. Bitens, wśród zajęć, zapomniał o przyjacielu, dopiero, gdy po trzech latach odezwał się pieśnią przed jego domkiem, stanęła mu przeszłość na oczach. Próżno jednak przyjaciela szukał, próżno go głosem całej piersi wywoływał.

Losy Pollego, od czasu wyjazdu z kolonii Bitensa, snuły się jak poprzednio. Wieści od swoich otrzymał nareszcie, lecz musiały one być bardzo smutne, bo jeszcze większa ogarnęła go tęsknota. Zaczął stronić od ludzi, wreszcie wsiadł na okręt wypływający z Sydney, lecz nie dotarł do kolonii Bitensa; prosił by go zostawiono na jednej z otaczających ją niezamieszkałych wysepek. Mówił, że drzewa, zwierzęta a nawet skały zrozumieją jego mowę, która dla wszystkich otaczających go ludzi była obcą.

Załoga i majtkowie mieli go za pozbawionego zmysłów; ludzie ci, błąkający się ciągle po oceanie, nie rozumieli jego tęsknoty; żałowali go po swojemu, lecz nikt nie bronił mu wysiąść na wysepce. Dali mu nawet pewną zapomogę, to jest trochę prochu, śrutu, jakieś zużyte narzędzia do uprawy roli, oraz niewielkie czołno, aby, gdy zatęskni do ludzi, mógł się dostać do przepływającego okrętu.

I tak ów dziwak przeżył rok cały, przesuwając się na maleńkiem czołnie z wysepki na wysepkę. A tych wysepek było tak dużo, że nieraz Polly zastanawiał się, ile to jest jeszcze ziemi, której nie dotknęła stopa ludzka, gdzie żadna skarga ani radość nie rozdarła powietrza.

Raz miał sen, że jest wśród ludzi; oni go przygarniają, szepcąc, że tak dawno czekają na niego z utęsknieniem. Widział żonę, która opowiadała dziecięciu, iż ojciec jej żyje daleko, daleko, ale gdzie, ona nie wie. pod wpływem owego snu Polly wsiadł na łódkę i dopłynął na wyspę Bitensa; chciał szukać sennych widziadeł, przecież tam wśród rodziny kapitana poznał jakieś przebłyski szczęścia.

Wiosłował szybko, wysiadł na wybrzeżu, lecz i tu dużo się zmieniło. Spotkał na wstępie kilku nowych ludzi, których karnej kolonii dostarczyła Europa, ci go przywitali zdziwieniem i śmiechem.

Uciekł przed nimi: spojrzał zdala na dom kapitana, ten mu się wydał osamotnionym. Usłyszał za sobą śmiech suchy, drażniący słuch nieprzyjemnie, darzyli go nim nowi przybysze, pracujący w kopalni.

Westchnął nad nimi i poszedł do domku kapitana. Stanął, nikogo przed domem nie było, cisza panowała zupełna.

Może i tu znajdę obce twarze, które powitają szyderstwem! Tak, wszak trzy lata upłynęło od ostatniej mojej tutaj bytności. Machnął więc tylko ręką i zanuciwszy pieśń, która go przenosiła do ukochanych, przeszedł koło domku tak szybko, jak gdyby chciał uciec przed sobą samym....

Biegł z pieśnią na ustach, z nią rzucił się do łodzi i zginął z przed oczu ludzi pomiędzy nadbrzeżnemi skałami. Błąkał się wśród nich, lecz nie powrócił na zieloną wyspę; nie dziw więc, że Uery i kapitan nie znaleźli mieszkańca, tylko ślady jego pobytu.

— Trzeba czatować na niego; mówił Bitens, odwiedziwszy raz wyspę. — Przyjdzie zapewne zebrać; dodał, patrząc na bielejącą dorodną pszenicę.

Oczekiwano, — Polly nie wracał. Uchodząc z wyspy, zagłębił się pomiędzy skały z czołnem; morze łagodne rzucało bałwany, Polly czuł się bezpiecznym.

Na szczycie skał czuwał orzeł. Żeglarz, wsunąwszy się między skały, zarzucił niewielką kotwicę, położył się w łódce i był

bezpiecznym. Marzył, że znalazł przystań, w której mu będzie spokojnie; gwiazdy mrugały, on długo się w nie wpatrywał, potem oparł się na zrębie i śpiewał pieśń jedną po drugiej. Skały powtarzały echem dźwięki i wyrazy, a jemu się zdawało, że wtóruje im głos znany. Śpiewał i marzył, aż znużony zasnął; wśród snu widział wszystkie wspomnienia, — wszystko, co zostawił za oceanem.

Jak długo spał, i czy spał, nie wiedział. Obudził go huk jakiś.... to morze wzburzone szalało. On wśród skał był bezpiecznym; spojrzał w górę, orła nie było na szczycie, fale rzucały się w skał zagłębienie, opryskiwały wątłą łódź, lecz jemu szkodzić nie mogło. Uczuł nagle głód i zaspokoił go zapasami, jakie miał w swej łodzi. Cieszył się prawie tą nową swoją siedzibą.

Wreszcie burza się uciszyła; na wielkim obszarze oceanu majaczył jakiś punkt czarny, zbliżał się, coraz bardziej uwydatniały się jego kształty, w końcu najwyraźniej można było rozpoznać okręt.

— Ha, raz jeszcze spróbuję; może to dobry los zapędził mnie tutaj, abym spotkał się znów z okrętem i popłynął do Australii. Tak, ten okręt płynie w tym kierunku, zabierze mnie z pewnością.— I silnemi ramiony popchnął łódź swoję; fale ją uniosły i znowu znalazł się na pełnem morzu. Gdy się oddalał, zaczął żałować swojej wyspy, na której zasiał pszenicę.

— Kto ją zbierze?.... byłbym miał z niej piękne ziarno.... Już zapóźno!... nie skieruję tam mojej łodzi.... Łódź, podrzucana bałwanami, chyliła się w tę i ową stronę; zdawało się, że ją przewrócą i zatopią, lecz Polly ich się nie lękał....

Przepływający parowiec, zobaczywszy owę łupinę, zwykłym obyczajem wszystkich okrętów wysłał łódź ratunkową, myśląc, że ktoś zbłąkany potrzebuje pomocy. I znowu Polly płynął do głównej wyspy, gdzie okręt wracał z dorocznej wycieczki na jednę z mniejszych posiadłości korony angielskiej, rozrzuconych po oceanie spokojnym.

Dokończenie nastąpi.

SWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

Ciąg dalszy.

ODSŁONA SZÓSTA.

Scena Pierwsza.

Rzymskie forum — Simplicyusz i Lokwacyusz. (*Lud chodzi tam i sam*).

Lokwacyusz (*czyta list energicznie gestykulując*). Tegom się spodziewał!... Zwykle tak idzie, kiedy się wszystko na własną rękę robi!.... Cesarzowi radziło wielu, aby nie ciągnął w pole; ja sam, gdybym był u niego, to samo radziłbym mu; ale cóż, kiedy tak biednym obywatelom jak my, wstęp do cesarza jest wzbroniony; a senatorowie nic innego nie umieją jak tylko mówić zawsze "tak",.... żeby też czasem powiedzieli "nie;" ... ale zawsze mówią "tak, tak, tak;".... na wszystko przytakują głowami.

Simplicyusz. Ja tak samo bym zrobił.

Lokwacyusz (*patrząc na Simplicyusza z podełba*). Cobyś zrobił?

Simplicyusz. No... mówić "tak" i głową przytakiwać i w niczem się nie przeciwić.

Lokwacyusz. I dla czego?

Simplicyusz. No, dla tego, bo na tem najlepiej się wyjdzie.

Lokwacyusz. Nie jesteś tak głupi, jak się wydajesz.

Simplicyusz. Co ty sobie myślisz?..: Ja sam siebie nie uważam za głupiego a ty mnie za takiego uważasz?.... Już ty się nazywasz słusznie Lokwacyuszem — to znaczy gadułą.

Lokwacyusz. Gadułą!.... Czy ja tyle gadam, albo czym ciebie kiedy przegadał?— Czy jest rzeczywiście prawdą, że cesarz Trajan umarł? bo mi tak mój przyjaciel pisze.

Simplicyusz. Tak, umarł na pewno; a tak spokojnie spoczywa pod ziemią, jak mysz pod miotłą.... Ciekawy też jestem, kto będzie cesarzem.

Lokwacyusz. Już ty chyba nim nie będziesz!...., możesz sobie zupełnie spokoj nie spać!.... Gdybyś ty został cesarzem, ja natychmiast zostaję Jowiszem.

Simplicyusz. Dobrze! niechbyś ty sobie został Jowiszem! Ciekawy byłbym, jak byś też Jowiszował. Ale ja, bądź pewien, gdybym był cesarzem, to wiedziałbym lepiej, co człowiekowi jest pożytecznem, aniżeli taki, co tam całe swoje życie wymachiwał tylko pałaszem.

Lokwacyusz. Dzisiaj, jak słyszałem od mojej sąsiadki, ma wejść do Rzymu całe wojsko. Na Jowisza miłego! cieszę się na to widowisko.... Sąsiadka powiadała mi też, że dowódzca Placyd, co tak Partom skórę łatał, będzie na czele wojska;.... tego muszę zobaczyć, choćby się ziemia rozsadziła!

Simplicyusz. Może już jest z igły zdjęty nowy cesarz? A może i ten będzie wjeżdżał z paradą do Rzymu?

Lokwacyusz. Wiesz człowieku, aż mi się źle robi od ciekawości, jak on się nazywa i jak wygląda.

Simplicyusz. Tobie źle się robi od ciekawości, jak on będzie wyglądał, ale mnie, powiem ci prawdę, robi się źle od ciekawości, czy też ten cesarz tak hojnym będzie i ten oto worek napełni pieniędzmi.... Gdy będę miał pieniądze w worku, to wtedy będę na niego wytrzeszczał oczy jak cebule,— inaczej na niego nie spojrzę, chociażby on był z dyamentu.

Lokwacyusz (*śmiejąc się*). Nie obawiaj się; ani jeden miedziak nie wleci ci do tego worka. — Aha! tam dwóch żołnierzy! Widzisz? Pewno oni byli z Placydem w wojnie.

Simplicyusz. Tak, tak, — zdaje się, że to przednia straż konna.

Lokwacyusz (*śmiejąc się*). Tak, masz racyę, to pierwsza konnica. O! Simplicyuszu! Ha, ha, ha!!!

Scena Druga.

Ci sami. Flor i Lukan.

Flor. Senat przyjął dość obojętnie wiadomość o śmierci cesarza i o wyborze jego następcy i zdaje się nawet, że o wjazd do Rzymu nowego cesarza senatorowie wcale się nie troszczą.

Lukan To wierzę, im siedzi w głowie republika, a z republiką samowola. Cesarza uważają szlacheccy senatorowie a razem z nimi napuszali a głupi mieszczuchy jako zupełnie zbyteczny mebel.

Lokwacyusz (*cofając się z Simplicyuszem w tył*). Słyszysz, jak ci oficerowie o nas mówią! Głupimi mieszczuchami nazywają nas!.... Ale poczekaj, my się od nich dowiemy różnych rzeczy!

Flor. Przy wyborze cesarza miało się wydarzyć coś szczególnego.

Lukan. Ależ to nie jest żaden wybór! Plotyna, żona Trajana, zakochana aż po same uszy w zalotnym gachu Hadryanie, — bo już go gachem zwać muszę — po prostu sama wygotowała edykt, w którym cesarz Trajan mianuje go swoim następcą.

Simplicyusz. Cha, cha! to piękne! Więc babie zawdzięczamy nowo upieczonego cesarza!

Lokwacyusz. Cicho, cicho, aby nas nikt nie słyszał!

Flor. Ja służyłem przez dłuższy czas pod jenerałem Hadryanem i znam go bardzo dobrze.

Lukan. Ja go także znam.... W tym człowieku jest mieszanina najrozmaitszych

charakterów. Z kobiecą jego łagodnością krzyżuje się dzikie okrucieństwo. Lubi naukę, ale obok tego jest pełen przesądów. A znowu próżnym jest w najwyższym stopniu; chce być mądrzejszym, aniżeli cały świat.

SIMPLICYUSZ. Doskonale! Więc z jednej strony znamy dobrze nowego naszego pana!

FLOR (*do Lukana*). Wybornie odmalowałeś Hadryana, iście tak, jak go poznałem.

LOKWACYUSZ (*zbliżając się*). Czy mógłbym się zapytać, gdzie cesarz Trajan umarł?

LUKAN. O tem mogę cię jak najdokładniej powiadomić: cesarz Trajan umarł w łóżku.

LOKWACYUSZ. Tegom się domyślał, (*z oburzeniem*) ale nie spodziewałem się takiej bezczelnej odpowiedzi...

FLOR. Obywatelu z Rzymu, ja zaspokoję twoją ciekawość. Cesarz Trajan umarł w Selinos w Cylicyi, właśnie kiedy wybierał się z powrotem do Italii.... Acha! zdaje się, że już jadą (*obywatele cofają się w tył, a oficerowie stawają w rzędzie*).

Scena Trzecia.

LOKWACYUSZ i SIMPLICYUSZ.

LOKWACYUSZ. Tak, rzeczywiście jadą! (*do Simplicyusza*). Patrzaj jeno! Ten, który w środku jedzie, to pewnie jest cesarz. Na Jowisza, jak ordynarnie wygląda!.... Wspaniale wyglądają w obec niego dowódzca Placyd i dwaj oficerowie, którzy jadą konno po bokach.

SIMPLICYUSZ. Coo!!! szkoda! Wszyscy schodzą z koni i idą pieszo.

LOKWACYUSZ. Na przodzie idzie jak zwykle chorąży z proporcem, na którym widnieje orzeł rzymski a pod orłem napis: "Senat i lud rzymski" (*z dziecinną radością*). Więc my obaj także jesteśmy tam wzmiankowani.

SIMPLICYUSZ. A czy my nie obywatele!.... To nam się słusznie należy.

LOKWACYUSZ. Patrzaj jeno na ten pochód! Żołnierze niosą także chorągwie z napisami wszystkich miast i fortec, które we wojnach zdobyte zostały... Na Jowisza! Za tymi chorągwiami niosą coś najlepszego. Niosą wszystkie skarby i łupy bogate, które we wojnie z Partami pozabierali!.... (*skacząc*). Eh! jaki ja głupi! Cieszę się, jakby mi się miały dostać w udziale te łupy! Nam pewnie nic się z nich nie dostanie.

SIMPLICYUSZ. To możesz wiedzieć.

LOKWACYUSZ. Teraz nie śmiejmy się, nie skaczmy i nie róbmy głupstw, ale z powagą obywateli rzymskich wyjdźmy pochodowi naprzeciw, a cesarz okrutnie się ucieszy i my będziemy w łaskach u niego.

SIMPLICYUSZ. Tak, masz racyą. Idźmy i przywitajmy go, bo senatorowie, co to ciągle mówią "tak", "tak", nic dla cesarza nie czynią (*odchodzą z powagą*).

Scena Czwarta.

Wjazd: rzymski orzeł, oddział żołnierzy z lancami, potem oficerowie, Flor, Lukan, Agapiusz i Teopist, Eustachiusz z buławą, cesarz Hadryan ze szablą w ręku. Na końcu jeszcze jeden oddział żołnierzy z chorągwiami, którzy wypełniają tył sceny. Podczas tego muzyką.

HADRYAN. Tak więc znajdujemy się w stołecznem mieście całego świata, we wiecznym Rzymie. Dobrym jest znakiem w początkach mojego panowania, iż spełniono moje życzenie, aby nie czynić żadnych uroczystych przygotowań do mojego przyjęcia. Otoczony tylko oficerami i żołnierzami, chciałem wjechać do Rzymu; i tak się stało, co mnie bardzo cieszy. Jednak nie wziąłbym za złe, gdyby jeden i drugi z panów senatorów znajdował się tutaj i przywitał mnie. No, ale ci panowie lubują się w pokoju starym zwyczajem Rzymian, (*zwracając się do Eustachiusza*) więc im w tem nie przeszkadzajmy.... Waleczny dowódzco Placydzie, dziękuję ci w imieniu narodu rzymskiego je-

szcze raz za owo świetne zwycięztwo nad Partami, a że, jak mi wiadomo, po zwycięstwie wieniec laurowy, któryś otrzymał od mojego poprzednika, Trajana, rozdzieliłeś między twoich równie walecznych synów, to ja, cesarz Hadryan zdobię cię po drugi raz laurowym wieńcem na znak czci i sza cunku (*wkłada mu wieniec na głowę*). Zatrzymaj go aż do śmierci i bądź szczęśliwy!

Eustachiusz. Dziękuję ci pokornie najjaśniejszy panie za ten zaszczyt i życzę ci również w imieniu całego narodu rzymskiego szczęścia i długiego życia. Panuj szczęśliwiej jak Augustus a lepiej jak Trajan!

Hadryan. Nie zapominajmy jednak, że przedewszystkiem bożkom powinniśmy złożyć dzięki za zwycięstwo. Jutro więc o godzinie szóstej rano złożymy ofiary Jowiszowi, najwyższemu i najmocniejszemu, każdy musi się na ten obrzęd stawić.

Eustachiusz. Cesarzu, pomyśl co rozkazujesz! Nie zmuszaj nikogo! Służba bożkom musi być dobrowolna.

Hadryan. Prawo, jeżeli co przepisuje, to zmusza do wypełniania przepisu każdego poddanego. Gdyby miano poprzestawać na tem, co kto dobrowolnie uczyni, dziwnie wyglądałoby w państwie. Rozkazu nie zmieniamy. Jutro będzie wielkie święto ku czci bożków.

Żołnierze (*z tyłu sceny*). Niech żyje cesarz Hadryan!

Rzymskie forum. Posąg Jowisza. Tron cesarski.

Scena Pierwsza.

Lokwacyusz.

Lokwacyusz. Śliczny poranek zawitał dzisiaj na cześć Jowisza, ale ludzie jakoś nie chcą składać czci Jowiszowi — bo bardzo mało ich się zgromadziło. Siłą do tego ludzi zmuszać nie mogą, bo w takim razie na przekor jeszcze mniej ludzi brałoby udział we święcie.... (*śmiejąc się szyderczo*). Ci, którzy się zgromadzili do tego czasu ku czci Jowisza, ci wszyscy są urzędnikami, i jako tacy muszą się Jowiszowi kłaniać, chociaż w niego nie wierzą, akurat tak samo jak ja. Ha! ha! ha! (*śmieje się na całe gardło*).... Ale ja tak głośno mówię i śmieję się; jeszcze mię kto usłyszy.... O rety! rety! (*przyciszonym głosem*). Idzie Simplicyusz, ta barania głowa.... O rety! Może słyszał, co mówiłem (*to mówi na stronie*).

Scena Druga.

Lokwacyusz i Simplicyusz.

Simplicyusz. Spodziewałem się tego, że ciebie na forum zastanę, mianowicie, że się na niem dzisiaj rzeczy interesujące dziać będą.

Lokwacyusz. A tak! dzisiaj odbędzie się wikowisko, na które warto będzie patrzeć.

Simplicyusz. Myślisz? Zkąd ty to wnioskujesz?

Lokwacyusz. Czy nie zauważyłeś wczoraj, że dowódzcy Placydowi nie podobało się dzisiejsze święto urządzone na cześć Jowiszowi? On i jego synowie są chrześcianami, więc też z pewnością nie zechcą pokłonić się Jowiszowi i ofiary składać.

Simplicyusz. To być może, bo chrześcianie są nieugięci w swojej wierze i nie lękają się żadnych tortur.

Lokwacyusz. Nie tylko, że się nie lękają tortur, ale je znoszą z największą łatwością — ani zęba nie zacisną. Raz widziałem, to na własne oczy, wrzucono jednego chrześcianina we wrzący olej, który w kotle okrutnie kipiał tak, że pryskał na wszystkie strony. Okrutnie nieswojsko zrobiło mi się na sercu, bo byłem pewny, że z biednego człowieka ani jednej kości nie pozostanie. Tymczasem ów chrześcianin wyszedł z kotła zupełnie nieuszkodzony. Jak zdrowo wrzucono go we wrzący olej, tak zdrowo z

niego wyszedł. Kiedym to zobaczył, odskoczyłem na sto kroków ze strachu i krzyczałem na całe gardło: "Ludzie uciekajcie, ludzie uciekajcie! bo ten chrześcianin z djabłem trzyma".... Chodziło mi o ludzi, żeby ich czasem nie poturbował; bo widzisz Simplicyuszu ze złym duchem nie ma co żartować.... Jeżeli Placyd będzie uporny i nie pokłoni się Jowiszowi, to cesarz będzie go chciał zmusić do tego i rozkaże wrzucić go we wrzący olej. Brr! zimno mi się robi na myśl, jak on będzie siedział we wrzącym oleju i jak go djabeł opęta!.... Żebym ja był Placydem, pokłoniłbym się Jowiszowi; cóżby mi to szkodziło?... bo z naszym cesarzem nie ma co żartować.

Simplicyusz. Żartować! żartować! Na Jowisza! co ty gadasz, któż się odważy z cesarzem żartować?

Lokwacyusz. Tyś głupi jak baran. Przecież ja nie mówię, żeby z cesarzem mógł ktoś żartować, jak oto my czasem ze sobą żartujemy. Na mocnego Jowisza, tego ja nie mówię Simplicyuszu. Ja tylko mówię w tym sensie, że cesarz potrafi wyszukać środków gwałtownych do przeprowadzenia swej woli. — Aha! już idą; cesarz idzie także; idźmy na bok!

Dokończenie nastąpi.

MĘCZENNICY CHIŃSCY.

Przez ks. A. W.

Ciąg dalszy.

II.

Noc całą przepędzili ci trzej jeńcy w ciemnym lochu, nazajutrz stawiono ich przed Mandarynem, który tak rzekł do kapłana anamickiego:

— ,,Czy masz stanowczą wolę porzucić twą religią, lub umrzeć?"

— Wolę umrzeć, bo to ostateczny cel mych życzeń."

— ,,Zkąd takie zaślepienie?"

— ,,Religija moja jest prawdziwem światłem: ona oświeca ciemności ziemi, oświetla noc grobu i przepaście wieczności. Niegdyś błąkałem się i ja po ciemnościach, ale teraz chodzę w światłości. Nie mogę słońcu zakazać, by mi nie świeciło i mnie nie ogrzewało".

— ,,Zkąd ta niedorzeczność, chcieć za wiarę swą cierpieć i umrzeć?"

— ,,Bo ją miłuję i wielbię jej założyciela! Dla jej miłości nic nie zatrudno, a dla czci nic nie za wiele".

— ,,Jak możesz kochać religiją, która ci nieszczęście gotuje, o łaskę króla przyprawia i ciebie wolności i życia pozbawia?!"

— ,,Tylko chwil kilka trwa moja nędza, a szczęście wiecznie trwać będzie. Każda kropelka krwi stanie się perłą w koronie niebieskiej; łaska Króla królów mi pozostanie; wyjdę — jak Józef z więzienia, — do tronu. To, co znikome postradam, a posiądę to, co wieczne; błyskotki dam, a w zamian dostanę perły i drogie kamienie".

— ,,To trudno zrozumieć", odparł Mandaryn. — Jestto stateczną, niezłomną twą wolą?"

,,Tak jest, niezmienną wolą i nigdy inaczej myśleć nie będę. — Gdyby ktoś powiedział do ciebie Mandarynie. nienawidź twego ojca, któremu zawdzięczasz życie, co cię obsypywał dobrodziejstwy; porzucić twe dziatki; zaprzyj się twego brata, co dzierży najwyższe honory i którego dobroci masz niezliczone dowody; zabij twego dobroczyńcę, czybyś mógł to uczynić? Tak i ja Tego zaprzeć się nie mogę, który u mnie więcej waży, niż Ojciec, dziecko, brat i najszczerszy przyjaciel".

,,Odprowadzić go; z nim już nic wskó-



Miłosierny Samarytanin.

rać nie można. Ale wprzód powiedz, co to są za przybory?"

— ,,To Krzyż, zapewnie ci znany".

,,Jak wy możecie czcić kawał drzewa, kiedy na cześć naszych bożków w pagodach tak nastajecie?"

— ,,Nie martwemu drzewu należy cześć nasza, lecz temu, kogo ono przedstawia, pierwotnemu wzorowi. Czybyś króla posąg nogami deptał, czybyś obraz ojca twego podarł i z pogardą w śmieci rzucił?"

— ,,Co znaczy ten wizerunek niewiasty, który znalazłem w książce twojej?"

— ,,Przedstawia Najświętszą i Najczystszą swego rodzaju, na Jej obraz spoglądając stanowimy u siebie, czystymi i świętymi zostać jak Ona."

,,A ta księga?"

— ,,Ona mnie uczy pobożnie żyć i swobodnie umierać, gdym wesół, modlę się w niej, abym nie spyszniał i nie zapominał Boga mego, gdym smutny, modlę się także w niej, abym nie zwątpił i w złe nie popadł.

,,Dobrze; a na co te świece?"

— ,,Swiatło ich przypomina nam dawcę naszej wiary, który ciemności świata rozproszył, przypomina, — abyśmy byli pochodnią w ciemnościach by błądzący ludzie prawą drogę znaleźli, patrząc się na nas; świece nareszcie przypominają nam, abyśmy się sami strawili i aby tę powinność spełnić, stoję dziś przed tobą".

Te słowa zdawały się nieco wpływać na Mandaryna, pytającego dalej:

,,Do czego potrzebujecie kadzidła?"

— ,,Ofiarujem je w naszem ubóstwie Bogu, wiedząc dobrze, że z długu naszego nigdy się nie uiścimy, w przekonaniu, że ofiara serca naszego i woli, Jemu milszą nad kadzidło, ufni że chęć nasza podobania się Jemu z korną modlitwą Bogu tak miłą, jak nam zapach kadzidła. Dym kadzidła wzbijający się do Nieba przypomina nam, że do Nieba mają się kierować nasze modły i życzenia, nie ku ziemi, na którą spada gruba — ponura mgła; kadzidło paląc, żywimy tę słodką w sobie nadzieję, że modły nasze wzbiją się przez obłoki do tronu Najwyższego, jak woń kadzidła wzbija się ku niebu.

,,Dosyć tego" — rzekł Mandaryn słuchając wszystkiego z pewną ciekawością. ,,Żołdaki, bierzcie go!.... I stało się też tak.

Królewski urzędnik obraca się teraz do Antoniego Dich, do onego starca, mówiąc:

,,Obieraj sobie! życie, — albo śmierć!"

— Pod jakiemi warunkami? zapyta starzec.

— ,,Zdepc ten krzyż, a będziesz wolnym" — odrzekł Mandaryn.

— ,,Tego nie mogę — w żaden sposób nie mogę Tego znieważyć, którego wysoko cenię, to nienawidzić, co kocham", odpowie starzec.

— Do twego serca nie mam prawa, żądam tylko zewnętrznej formy — formalności. Krzyż jest tylko martwem drzewem. Żadnego uporu! Niech się stanie rozkaz króla. Wtedy wrócisz do rodziny, która cię kocha, do wnuków, co swobodnie igrać będą u twego łona, do twej swobody, której mile w spokoju zażywać masz, tak mówił urzędnik.

A na to starzec:

— ,,Prawda, że krzyż jest tylko martwem drzewem, ale był ostatniem miejscem spoczynku mego ukochanego Zbawiciela; prawda, — że krzyż jest tylko martwem drzewem, ale pomazan jest najdroższą krwią mego Zbawiciela, prawda, — że krzyż jest tylko martwem drzewem, ale mój najdroższy Zbawca wyzionął na nim ducha swego: to, co mu nadaje tyle wartości. Kocham krzyż dla Ukrzyżowanego; powierzchowność Chrześcianina jest wiernem zwierciadłem jego duszy — w niej się odbija całe

jego wnętrznie; nie jest on podobien do zegara bijącego inaczej a wskazującego inaczej. Żadną miarą nie mogę być posłuszny; gdybym mógł pogodzić rozkazy Króla Niebios z ukazami króla ziemskiego, uczyniłbym to zapewne; ale teraz muszę oddać pierwszeństwo królowi Nieba".

Rozgniewany Mandaryn, że jego wymowa tak mało skutkowała, zawołał:

,,A co, będziesz ty tak samo prawił, skoro rózgi porozcinają twoje stare członki a rozpalone kleszcze poszarpią twe ciało na kawały?"

— ,,Choć wątły i zgrzybiały starzec, mam ufność w Tym, co jest mocarzem w słabych, czyniąc je bohaterami, że wiernym pozostanę mej wierze" — odpowiedział Antoni.

Teraz obrócił się urzędnik do Michała i rzekł doń poważnie z pewnem pobłażaniem:

,,Ty byłeś ulubieńcem, bożkiem twej gminy a to zupełnie słusznie, boś się zawsze rządził — sprawiedliwością. Sprawiedliwego nie zwałeś winnym a od winnego i zbrodniarza nie brałeś nigdy podarków. Czemuż tu teraz siedzisz między łotrami, mogąc zasiadać nawet w radzie króla? Czemu chcesz umrzeć winowajcą i zbrodniarzem w kwiecie dni twoich, w samej sile wieku, gdy ci się szczęście uśmiecha? podaj mu tylko rękę, a masz zaszczyty i honory?"

— ,,Jeśli do chwili niniejszej żadna nie ciąży plama na mem imieniu" — odpowie Michał — to i teraz nie godzi mi się go skalać — ale zachować nieskazitelne, jak wstydliwa dziewica panieństwo swoje. Jeślim królowi tego kraju zawsze był wierny, jakżeż mogę wypowiedzieć cześć i posłuszeństwo królowi Nieba i ziemi? — Dla wiary, więzienie chrześcianinowi jest najpiękniejszym pałacem — ba nawet przedsionkiem Nieba, żelazne więzy stroją go więcej, niż złote łańcuchy, krew i rany są mu klejnotami, króle-wskim przepychem, a szafot tronem i drabiną do Nieba!"

— ,,O nięszczęsny! — tyle drogich istót wtrącasz w okropną ruinę — rzecze dalej Mandaryn — czuła i wierna małżonka i dzieci nadaremno łzy leją, tyś tych łez przyczyną a niechcesz ich pocieszyć, luboś jej małżonkiem; ona do Ciebie wyciąga swe dłonie, — ty je odpychasz. Czworo malców wyciąga do ciebie rączęta z prośbą: zostań ojcze! zostań! z nami, a ojciec odwraca oczy, zatyka uszy — na ich głos niewinny. On z wiernej małżonki czyni wdowę a z dziatek sieroty — żebracze". Tak mówił Mandaryn, badając chytrze twarz więźnia — oko jego zabłysło radośnie, jakby już był pewien swego tryumfu.

— ,,Precz odemnie kusicielu! ni z głazu ni z kamienia serce moje, ani mnie też lwica nie karmiła! — zawołał spieniony Michał: ,,Zwycięztwo byłoby po waszej stronie, gdyby wyższa moc nie walczyła ze mną. Schowaj twoję wymowę, byś kruszył serce okrutnika, co niewinność ciemięży — serce zakamieniałe bogacza, co bratu pozwala z głodu umierać — obejdę się bez niej — nie potrzebuję, abyś mię ściągał z toru obowiązków moich! bo po ludzku czuję! Łączył mnie ściśle węzeł miłości z żoną i dziećmi, ale węzeł, co mnie łączy ze Stwórcą i Zbawicielem, jeszcze ściślej mnie łączyć powinien. Jeśli moich poniecham, to Ojciec ludów i sierót zostanie przy nich; Ten, który mi ich udzielił, będzie się nadal niemi opiekował. Czyż żona i dziatki tak wielkiego politowania godni, że mąż i ojciec ich na dni kilka się oddala, gdzie o nich pamiętać będzie i tam ich sam przywiedzie, gdzie już nigdy rozdzieleni nie będą?"

Ciąg dalszy nastąpi.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON

W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

VIII.

Huragan zwrotnikowy. — Spotkanie z Europejczykiem. — Pan Wojciech. — Ucieczka od dzikich ludzi.

Dziwicie się zapewne, iż Janek nasz, gdy już się nauczył rozmawiać z Indyanką, która taka dobra była dla niego, nie poprosił jej, aby go do rodziców odprowadziła. I jemu to nieraz na myśl przychodziło, próbował nawet mówić z Palmą Wysmukłą o swojej mateczce, opowiadać jak ona go kochała, jak tam rozpaczać musi po jego stracie, ale Indyanka zamykała mu usta, a gdy płakać zaczynał, chwytała go na ręce i śpiewała, nie dając mu przyjść do słowa. Raz gdy dłużej niż zwykle uspokoić się nie dawał, ona także się rozpłakała i rzekła:

— Biały Jelonek nigdy nie wróci do białych ludzi, musi pozostać z Bystrym Sokołem i Palmą Wysmukłą, bo to sam Wielki Duch ulitował się nad nimi i podarował im ślicznego Białego Jelonka.

Wielkim Duchem Indyanie amerykańscy nazywają Boga. Palma Wysmukła widocznie wytłomaczyła sobie, że znaleziony chłopczyk powinien jej zastąpić zmarłego synka. I byłby może nasz chłopczyna został na całe życie u tych dzikich ludzi i sam zdziczał pomiędzy nimi, a wspomnienia dzieciństwa zatarłyby się zwolna w jego pamięci. Bywały rzeczywiście wypadki podobne, że dzieci osadników europejskich, porwane przez dzikich krajowców, przywykały zupełnie do ich sposobu życia i rosły w stanie dzikości, a potem zdziczali ci ludzie nie mieli nawet żadnej ochoty powrócić do swoich i za nieprzyjaciół ich uważali.

I Janek po pewnym przeciągu czasu coraz mniej tęsknił i rozpaczał, zajmowało go bardzo strzelanie z łuku, a już tak się wprawił, że nieraz zabił piękną papugę czerwoną i ustroił się w jej pióra; lubił także wiosłować, ryby łowić, pływać, we wszystkiem pomagał przybranej swej matce i szczerze się do niej przywiązał. Mówił już doskonale jej językiem i możeby był zapomniał po polsku, gdyby nie to, że codziennie rano i wieczór odmawiał pobożnie pacierz. Palma Wysmukłą nie broniła mu tego, zawsze z uszanowaniem patrzała, jak klękał i żegnał się, a raz szepnęła mu do ucha:

— Palma Wysmukła nie chce, ażeby Wielki Duch białych ludzi na nią się gniewał i pozwoli Jelonkowi z nim rozmawiać.

Biedna ta dzika kobieta wyobrażała sobie, że jest osobny Bóg dla ludzi białych, a osobny dla ludzi miedzianych, takich, jak ona.

Dnia pewnego upał był straszliwy, słońce tak paliło, że nawet wśród lasu, w cieniu i nad brzegiem strumienia trudno było odetchnąć dla wielkiego gorąca. Janek skąpał się w strumieniu. Chłopczyk pływał już doskonale, Bystry Sokół, ile razy dłużej w domu bawił, zabierał go z sobą do łódki, odpływał na środek rzeki i wrzucał go do wody, jak pieska, zrazu trzymając na pasku z mocnej plecionki z włókien palmowych, potem puszczając samego, gdy się już wprawił i pilnując, aby nie utonął.

Skąpawszy się tedy chłopczyna, usiadł nad strumieniem, urwał duży, gruby liść wodnej rośliny, zanurzył go i trzymał pod wodą; zrobił sobie tym sposobem wyborne zwierciadło i przeglądał się w niem, upinając sobie na głowie w obmokniętych włosach pęk piór różnobarwnych.

W tem nagle zerwał się wicher gwałtowny, drzewa zaszumiały przeciągle ponad głową chłopczyny, niektóre pnie smuklejsze uginały się prawie aż do ziemi, słońce skryło się za chmurę i pociemniało dokoła. Janek zerwał się przestraszony, poznał, że to burza się zbliża, a burza w gorących krajach, to wcale nie to, co w naszym umiarkowanym klimacie; on dobrze o tem wiedział, nieraz już widział straszliwy huragan zwrotnikowy.

Janek chciał uciekać co żywo do chatki, do Palmy Wysmukłej, lecz w tej chwili dziwny i niespodziewany widok wzrok jego uderzył. Niedaleko od niego, na brzegu strumienia stał człowiek ogromnego wzrostu i trzymał za uzdę osiodłanego konia. Nie był to dziki krajowiec, cerę miał białą, chociaż ogorzałą i ubiór europejski, spodnie i rodzaj bluzy ze skóry łosiowej, a na głowie ogromny biały kapelusz. W rękach trzymał strzelbę, na której się opierał.

Janek nie przeląkł się wcale obcego człowieka; przeciwnie, serce jego uderzyło radośnie, chociaż nie umiał sobie tego uczucia wytłómaczyć na razie. Człowiek ten także zdziwionym wzrokiem patrzał na chłopczyka, może pomimo umalowania skóry i piór na jego głowie poznał, że to nie było dziecko indyjskiego plemienia.

Gdy tak obaj wpatrywali się w siebie w milczeniu, ognista błyskawica nagle przeleciała po niebie i grom straszliwy uderzył, a głuchy odgłos rozległ się po lesie.

— O, Boże, Boże! zlituj się!—krzyknął Janek, zapominając zupełnie o nieznajomym i zakrywając sobie oczy. Chciał uciekać, lecz w tej samej chwili obcy ów człowiek przyskoczył do niego, chwycił go na ręce, jak piórko i zawołał dziwnie wzruszonym głosem po polsku.

— Chłopcze, coś ty za słowa wymówił? Czy mię słuch omylił? Ale nie, mnie słuch nie myli nigdy, tyś polskie dziecko, zkądże się tu wziąłeś w tej puszczy?

Janek w pierwszej chwili był tak zdumiony i wzruszony, że głosu nie mógł dobyć z piersi, ale się wnet opamiętał, najwyższa radość przejęła go na odgłos mowy rodzinnej.

— Pan mówi po polsku! o, cóż to za szczęście, pan pewnie także polak! — wołał, zarzucając obie rączki na szyję nieznajomego myśliwca, jakby to był jaki najbliższy jego krewny. — Ja się nazywam Janek, zgubiłem się w lesie, dzicy ludzie mnie zabrali i tu przyprowadzili. O, panie, drogi panie, proszę mię odprowadzić do rodziców!

Drugi grom potężniejszy jeszcze przebił powietrze, ziemia zadrżała, wicher zawył i dął tak silnie, że parę drzew przełamało się i z łoskotem padło na ziemię. Ale Janek już się nie bał, przytulił się do piersi swojego nowego opiekuna, a ten trzymał go silnie w objęciu, rozwinął kołdrę wełnianą, uwiązaną pod siodłem konia i otulił chłopczynę troskliwie.

Czas był po temu; nagle lunął deszcz rzęsisty, potoki wody spływały tak gwałtownie, jakby tam w górze pękły obłoki i morze jakieś całe wylało się na ziemię. Myśliwiec nie zważał na to wcale, szedł szybko, jedną ręką tuląc Janka do łona, drugą trzymając strzelbę, a koń posłusznie szedł za nim. Zatrzymał się wkrótce na otwartej polance, opodal od drzew. Burza szalała coraz gwałtowniej, gromy padały jeden za drugim, wicher wył, huczał, wyrywał drzewa z korzeniami i ciskał je o ziemię, jak źdźbła słomy, gałęzie łamały się z głuchym

chrzęstem, zrobiło się tak ciemno, jak gdyby noc zapadła, a deszcz lał ciągle strumieniem.

Janek nie czuł ulewy, nie słyszał huku i łomotu, nie widział nic, co się koło niego działo, zamknął oczy, tulił się do myśliwca i zdawało mu się, że przebudził się ze snu jakiegoś okropnego, że ujrzy za chwilę ojca, matkę, a wszystkie przygody wśród dzikich ludzi znikną mu z przed oczu, jak mara. Los Robinsona już mu się bardzo uprzykrzył i tęsknił za spokojnem życiem bez żadnych przygód niezwykłych.

Huragan, jak wybuchł nagle, tak i prędko przeminął, deszcz ustał, wicher się uciszył, chmury rozsunęły się na niebie i słońce błysnęło jasno wśród błękitu.

— No, chłopcze — rzekł myśliwiec — teraz nam trzeba uciekać, bo jak dzicy opatrzą się, że chcesz z ich towarzystwa skwitować, gotowi poturbować nas obu. Choć to ja z moją wierną strzelbą nie boję się nikogo, wolę jednak uniknąć przykrej przeprawy, zwłaszcza dla ciebie. Wsiadajmy na koń i dalej w świat. Jak już będziemy ztąd daleko, opowiesz mi, gdzie są twoi rodzice i postaram się odwieść cię do nich.

To mówiąc, wsiadł na konia, Janka posadził przed sobą, wprzód jednak zdjął z niego dziwaczny naszyjnik i pióra, sterczące we włosach, a natomiast wziął parę dużych liści, splótł je ogonkami i urządził mu z nich przykrycie głowy od słońca. Potem szybko puścił się w drogę i jechali tak parę godzin w milczeniu. Gdy słońce zniżać się poczęło ku zachodowi, byli już bardzo daleko od osady dzikich Indyan. Nowy opiekun Janka zatrzymał konia i rzekł:

— Teraz rozłożymy obóz na nocleg i pomyślimy, co z tobą zrobić. A najpierw pogawędzimy sobie po polsku; hej! dawnoż to, dawno, nie spotykałem się z rodakami.

Myśliwiec zsiadł z konia i Janka zsadził, rozesłał swoję kołdrę pod rozłożystem drzewem, dobył z myśliwskiej torby kawał wędzonego mięsa i placki z manioku, potem obaj podróżnicy zasiedli wygodnie i posilać się zaczęli, rozmawiając, a jeden i drugi zarówno był uszczęśliwiony, że może się nasłuchać dźwięku rodzinnej mowy.

— Ja się nazywam Wojciech Iwicki — rzekł myśliwiec — przybyłem do Ameryki w młodym bardzo wieku z ojcem i on tu umarł niezadługo potem. Gdy do lat doszedłem, wstąpiłem do wojska brazylijskiego. Biłem się przez lat wiele w różnych wojnach, a gdy nastał dłuższy pokój, sprzykrzyło mi się to jednostajne życie i uwolniłem się od służby. Już od lat kilku trudnię się myśliwstwem i żyję z tego. A teraz ty, moje dziecko, opowiedz mi swoje dzieje. Opatrzność, która mi dozwoliła wydrzeć cię z rąk dzikich ludzi, dopomoże mi do odszukania twych rodziców i odprowadzenia cię do nich.

Janek opowiedział wszystko, jak płynął z rodzicami do Ameryki północnej, gdzie się osiedlić chcieli, jak okręt się rozbił i musieli wylądować w porcie Panamaribo, jak potem, nie mając za co odbyć podróży do Nowego Yorku, odpłynęli parowcem po rzece i zamieszkali w jakiejś osadzie, w pobliżu dużego lasu.

— Ach, panie Wojciechu—rzekł chłopczyk, skończywszy opowiadanie — ja się bardzo boję, czy mama nie zachorowała tam z wielkiego zmartwienia. Ona mnie tak kocha i ojciec także; zawsze mówili, że jestem jedyną ich pociechą w tem życiu, że wszelkie troski i przeciwności znieść potrafią, póki ja tylko zdrów będę i wesół. Ja teraz już jestem spokojny, szczęśliwy, bo wiem, że pan mnie odprowadzi do rodziców. Ale oni tam biedni o niczem jeszcze nie wiedzą i myślą pewnie, że mnie już nie ma na świecie. Jabym chciał jechać dzień i noc, byle prędzej przybyć na miejsce.

— Wierzę ci, mój chłopcze — odrzekł pan Wojciech — ale musisz być cierpliwy. Najpierw koń potrzebuje odpocząć, potem w nocy zabłądzić łatwo, a nakoniec trzeba się namyśleć, jak tu odszukać twoich rodziców. Z tego, co mówisz, pokazuje się, że ta osada, gdzie oni mieszkają, nie musi być ztąd bardzo daleko, skoro Indyanie dopłynęli wraz z tobą jednego dnia..... ale jakiż to ze mnie niedołęga — zawołał nagle, uderzając się pięścią po czole — zapomniałem, że ta rzeka najdokładniej nam wskaże drogę. Dzicy ludzie musieli cię spotkać przecież blizko tej osady, bo sam temi drobnemi nożętami nie mogłeś odejść od niej daleko. Później płynęliście cały czas wodą. Ja tę rzekę znam dobrze, w pobliżu jej znajduje się rzeczywiście osada europejska, zwana San Miguel, byłem tam właśnie przed kilku dniami.

— San Miguel! — zawołał Janek, składając ręce w uniesieniu radości — ale to taż sama osada, tak ją nazywali podróżnicy, co z nami razem przybyli, pamiętam doskonale. Rodzice przezwali swój grunt Leśniczówką. O cóż to za szczęście, że pan tam był i zna dobrze drogę. Ale czy pan tam nie widział tatki i mamy?

— To jednak rzecz dziwna — rzekł pan Wojciech, jakby sam do siebie — nic ja tam nie słyszałem o tej Leśniczówce, ani o osadniku Polaku; a jednak byłbym z wielką radością pomówił z nim po polsku.

Ale nasz Janek wcale się tem nie kłopotał, nie przyszło mu do głowy, że w ciągu długiego czasu, który przebył pośród dzikich ludzi, mogło się zmienić wiele rzeczy. Jemu szło tylko o to, żeby się dostać do osady, gdzie pozostawił rodziców, ani wątpił, że wszystko tam tak zastanie, jakby wczoraj dopiero odszedł. C. d. n.

Słowa powabne nie wiele znaczą; serce prawe, to grunt człowieka.

DO KOŚCIOŁA.

Do kościoła — dzwonek woła
W niedzielę od rana —
Pójdźmy złożyć dziękczynienia,
Pieśń zanucić uwielbienia
U stóp Niebios Pana.

Do kościoła — dzwonek woła,
Bo dziś święta nadszedł czas —
Rzućmy trudy, prace, znoje,
Bogu nieśmy modły swoje
On pocieszy — wzmocni nas!

Do kościoła — dzwonek woła
Wszakże bracie słyszysz już?...
Chodź jak dziecię do matuli...
Bóg twój żal i ból utuli,
Jemu serce swoje złóż!

Do kościoła — dzwonek woła
I głos płynie z wioski w dal...
Kto nie słucha, lecz z daleka
Od kościoła wciąż ucieka
Zginie w pośród grzechu fal.

Bóg w kościele na cię czeka,
Bóg cię woła tam do siebie,
Bóg cię uczy słowem wiary,
Jak żyć trzeba, by być w niebie.

Do kościoła, jak do słońca
Myśl i serce wszyscy zwróćmy.
Pieśń podzięki — uwielbienia
Święty! Święty!... z serca nućmy!

Zdania moralne.

Ten z ludzi jest najdoskonalszym, który dla bliźnich jest najużyteczniejszym.

Przez pracę i cierpliwość dzieci roztropne staną się kiedyś ludźmi użytecznymi dla społeczeństwa.

Lenistwo jest matką wszystkich występków.